ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 4 lutego 1922 roku. № 5.

Józef Relidzyński. Nowela.

5) Tajemnica przystanku tramwajowego.

Tajemnicze zamordowanie hrabiego Opolskiego. Zagadkowe okoliczności. Morderstwo w obłędzie, czy z premedytacją? Samobójstwo mordercy.

„Pan Miecio" miał oczy przymknięte. Twarz upiornego balwierza była obojętna, tylko na ustach jego kołysał się dziwny, ekstatyczny uśmiech...

uśmiech rozkoszy —

uśmiech człowieka obłąkanego...

W uśmiechu tym było coś tak potwornego, tak nieludzkiego, że Opolski zrozumiał, iż tak uśmiechać się może tylko śmierć...

Ostatnim wysiłkiem odsadził się wraz z krzesłem, by ujść straszliwej, kościstej ręce, która niosła mu śmierć na ostrzu tępej brzytwy, ale druga ręka potwora znów, z nieludzką siłą, osadziła go na krześle...

Próbował odepchnąć mordercę, którego twarz wykrzywiła teraz wściekłość furjata i który, z pianą na ustach, jedną ręką przygniatając go ciągle do krzesła, drugą—ze straszliwą brzytwą—zbliżał do jego gardła, ale ręce zaplątały mu się w brudnem prześcieradle, które oblepiło go, jak macki polipa...

W upiornej ciszy rozległ się straszny krzyk człowieka mordowanego, poczem załamał się w śmiertelnem rzężeniu...

Straszliwa brzytwa jednym kocim ruchem chlasnęła po gardle Opolskiego...

Zachłysnął się krwią...

W mgle zachodzących śmiercią oczu zalśniły mu raz jeszcze rozszerzone, błędne źrenice „pana Miecia", przyglądające się z tępem zdziwieniem krwawej brzytwie...

Jednocześnie rzężenie ofiary i chlupot krwi, tryskającej z jej gardła, przytłumił straszliwy śmiech...

śmiech tryumfu —

śmiech człowieka obłąkanego...

. . . . . .

Nazajutrz Warszawa zelektryzowana została sensacyjną wiadomością, którą przyniosły pisma poranne: Wczoraj, w południe, posterunkowy, stojący na rynku Starego Miasta, zaalarmowany został przez stróża domu №... przy ulicy..., że w razurze, znajdującej się w tym domu, zamordowany został jakiś mężczyzna. Posterunkowy podążył natychmiast na miejsce zbrodni, gdzie oczom jego przedstawił się straszny widok: Na podłodze, obok przewróconego krzesła, leżał w kałuży krwi trup młodego, eleganckiego człowieka, niezawodnie z najlepszego towarzystwa, z poderżniętem za pomocą brzytwy gardłem. Morderstwo musiało nastąpić podczas golenia, gdyż na twarzy denata widoczne były jeszcze ślady mydła. Opodal kilku mężczyzn, którzy, posłyszawszy jakieś krzyki i hałas, pierwsi wtargnęli do razury, szamotało się z zatrudnionym w niej od pewnego czasu fryzjerem, niejakim Mieczysławem Pazikiem, usiłując wyrwać mu z ręki zakrwawioną brzytwę, którą wymachiwał i groził. Z ust jego wychodziły przytem jakieś nieartykułowane dźwięki, wogóle zachowanie mordercy było nienormalne. Po obezwładnieniu szaleńca i po przybyciu na miejsce ohydnego mordu władz bezpieczeństwa w komplecie, rozpoczęto natychmiast śledztwo. Z papierów, znalezionych przy denacie, okazało się, niestety, że jest to szeroko znany w sferach towarzyskich i sportowych naszej stolicy hrabia Roman Opolski, właściciel znanej stajni wyścigowej, którego „Nana" świeżo odniosła świetne zwycięstwo, zdobywając tegoroczne *„derby"*. Natomiast co do osoby mordercy, to śledztwo ustaliło, że jest on identyczny z zatrudnionym jeszcze przed rokiem w znanym zakładzie fryzjerskim, * * * popularnym i ogólnie lubianym „panem Mieciem", który, wskutek nieszczęśliwej skłonności do alkoholu, jaka zbudziła się w nim nagle, pod wpływem jakichś przejść, wywołał we wspomnianym zakładzie awanturę z gościem i został stamtąd usunięty. W następstwie tego rozpił się jeszcze bardziej i staczał się coraz niżej, aż wreszcie skończył karjerę w ostatniego rzędu razurze, jako morderca czy obłąkany. Okoliczności te dają dużo do myślenia, niewątpliwie bowiem hrabia Opolski był dawniej jednym z licznych arystokratycznych klijentów „pana Miecia" i nie jest wykluczone, że wtedy to został zadzierzgnięty pomiędzy nimi jakiś tajemniczy, tragiczny węzeł, zakończony wczorajszem morderstwem. Śledztwo poszło w tym kierunku i ciemna sprawa rychło zapewne zostałaby wyświetlona. Niestety, stała się rzecz nieoczekiwana, która komplikuje sprawę i utrudnia śledztwo. Mianowicie, morderca, przewieziony do aresztu śledczego, odmówił naprzód wszelkich zeznań, następnie zaś dostał ataku furji, wobec czego zarządzono przewiezienie go do szpitala Jana Bożego na obserwację. Tam uspokoił się i popadł w zupełne odrętwienie, nie przemówiwszy w dalszym ciągu jednego słowa. W nocy zaś, korzystając z chwilowej nieuwagi dozorcy, popełnił samobójstwo, powiesiwszy się na własnych szelkach. Czy morderstwo zostało dokonane w przystępie nagłego obłędu, względnie szału na tle

delirium tremens, czy też — świadomie, z premedytacją, morderca zaś symulował jedynie obłęd, dręczony jednak wyrzutami sumienia, bądź dla innych, tajemnych powodów, popełnił samobójstwo, pozostaje zagadką. Tło rabunkowe zdaje się być wykluczone, przy denacie bowiem znaleziono znaczną sumę pieniędzy, wszystkie kosztowności pozostały nietknięte. Najbardziej zagadkowe jest, w jaki sposób człowiek tak bogaty i wykwintny, jakim był zamordowany hrabia, mógł się znaleźć w tak obskurnej razurze i dać się tam golić. Niestety, najbliższem prawdy zdaje się być domniemanie, że ekskapada ta była skutkiem zbyt obfitej libacji nocnej, jedną z licznych ekstrawagancji hrabiego Opolskiego, którą tym razem tak straszliwie przypłacił młodem życiem. W każdym razie tragiczna i przedwczesna śmierć popularnego i sympatycznego arystokraty, błyszczącego światowca i świetnego sportsmena wywołała w całem mieście wielkie poruszenie i ogólne współczucie.

Pisma wieczorne przyniosły wiadomości, jeszcze bardziej sensacyjne:

W sprawie zagadkowego mordu na hrabi Opolskim. Nowe, sensacyjne szczegóły. Cherchez la femme... Zemsta po roku. Cień z za grobu „ślicznej Kazi".

W ostatniej chwili zostały ujawnione sensacyjne szczegóły, które na sprawę morderstwa przy ulicy... rzucają nowe światło i naprowadziły śledztwo na właściwe tory. Niewątpliwie, w najbliższych już godzinach, jeżeli nie całkowicie, to w każdym razie—w znacznej części, wyświetlone zostanie zagadkowe tło sprawy, która nietylko zelektryzowała kraj cały, ale poruszyła i prasę zagraniczną, ś. p. hrabia Opolski bowiem był szeroko znany na szerokim świecie, gdzie posiadał świetne koligacje i licznych przyjaciół w najwyższych sferach. Obszerniej zaspokoimy ciekawość naszych czytelników w wydaniu porannem, na tem miejscu zaznaczamy tylko, że motywów zbrodni, według wszelkiego prawdopodobieństwa, należy doszukiwać się w *„cherchez la femme"*... Mianowicie w grę wchodziła tu osoba zmarłej tragicznie przed rokiem śmiercią samobójczą pod kołami tramwaju słynnej piękności warszawskiej, znanej pod nazwą „ślicznej Kazi", z którą zamordowanego hrabiego łączyły bliższe stosunki, a która, jak się okazuje, w czasach, kiedy morderca był jeszcze eleganckim i popularnym „panem Mieciem", była jego narzeczoną i zerwała z nim dla hrabiego. Zdrada to właśnie ubóstwianej narzeczonej zepchnęła nieszczęśliwego narzeczonego na dno upadku i popchnęła go wreszcie po roku (akurat w rocznicę jej śmierci) do straszliwego aktu zemsty za dwa zmarnowane życia, na osobie szczęśliwego rywala. Tak się przedstawia obecnie w ogólnym zarysie tło tragicznej sprawy, która pociągnęła za sobą trzy ofiary. Nie wyjaśnione pozostaje tylko w dalszym ciągu, w jaki sposób ś. p. zmarły w dniu krytycznym znalazł się w staromiejskiej razurze. Być może jednak, że i tę zagadkę uda się rozwiązać śledztwu, które prowadzi znany z energji sędzia śledczy X. przy pomocy nadkomisarza Y.

. . . . . .

W środkowej nawie arystokratycznego kościoła, wspaniale przybranego zielenią i kirem, na którego tle, niby gwiazdy na nocnem niebie, jarzyły się liczne światła, w bogatej trumnie, ustawionej na wysokim katafalku i pokrytej mnóstwem wieńców, zabalsamowany, pięknie umyty i wystrojony, z szyją obwiązaną czarną jedwabną chustką, leżał hrabia Opolski, o całą wysokość katafalku wyższy nad wszystko i wszystkich, obojętny i zrezygnowany. Czekał na licznie rozsianą w kraju i za granicą dostojną rodzinę, która, zwietrzywszy łup niebylejaki, ściągała zewsząd, jak ciągną na pustyni szakale, poczuwszy zdaleka woń padliny. W perspektywie, poza uroczystością w Warszawie, miał jeszcze dłuższą jazdę koleją i uroczystość na miejscu, w rodowym majątku, gdzie miał być złożony do starego Opolskich grobowca.

Trzeba się było uzbroić w cierpliwość.

Kościół pozostawał przez cały czas w istnem oblężeniu. Policja była bezradna i bezsilna wobec tłumów, duszących się na stopniach i przy wejściu. Pogotowie Ratunkowe notowało dziennie kilkadziesiąt wypadków lżejszych i kilka ciężkich. Tramwaje stanęły. Reporterzy, fotografowie i operatorzy kinematograficzni kręcili się, jak myszy w spiżarni.

Ulica składała swój wieniec na katafalku hrabiowskim...

Wreszcie dostojna rodzina zgromadziła się w komplecie i pogrzeb mógł się odbyć...

Widowisko było wspaniałe, dawno nie widziane. Główny reżyser z najdroższego przedsiębiorstwa pogrzebowego przeszedł samego siebie. Widzowie dopisali, jak nigdy i nigdzie. Publiczność była do ostatka utrzymana w stanie naprężonej emocji, mimo, że widowisko było długie i miejscami nieco nużące. Sukces był niebywały...

Uroczystość odbyła się według następującego programu:

Najpierwsi soliści opery koncertowo śpiewali na chórze... „Marsz żałobny" Chopina, pod batutą sławnego kapelmistrza, wyciskał łzy z oczu... Licznie zgromadzona, złamana, okryta grubą żałobą rodzina zmarłego budziła ogólne współczucie i była przedmiotem ogólnej ciekawości... Trumnę z kościoła wyniosła na barkach w żałobnej liberji służba, której zmarły był dobrodziejem... Wieńce nieśli chłopcy z ochronki, której zmarły był protektorem... Latarnie uliczne płonęły, mimo białego dnia, osłonięte krepą... Na Klubie Myśliwskim powiewała czarna chorągiew... Długi, podwójny łańcuch kleru bielą swą malowniczo odbijał od czerni jeszcze dłuższego szeregu lśniących karet i automobili... Srebrne gwiazdy na katafalku błyszczały jak prawdziwe... Ilość nagromadzonych cylindrów w tak ciężkich i demokratycznych czasach była wprost zdumiewająca... Stroje pań rywalizowały z wytwornością panów... Szary i hałaśliwy, niby olbrzymie stado wróbli, tłum, poczciwy ludek nadawał arystokratycznemu pogrzebowi cechy demokratyczne...

„Historja przystanku tramwajowego", wydobyta na światło dzienne, była na ustach wszystkich żałobnych spacerowiczów. Co do jedynej kwestji nierozwiązanej, mianowicie — w jaki sposób sympatyczny nieboszczyk dostał się pod brzytwę morderczego golibrody, zdania były podzielone. Panowie, bardziej sceptyczni, orzekli, że był to prosty przypadek, ekstrawagancja po pijanemu. Panie natomiast, bardziej sentymentalne, osądziły, że romantycznego zawsze hrabiego sprowadziła na Stare Miasto niewygasła w sercu jego miłość do „ślicznej Kazi", która tam kiedyś mieszkała;

że, dręczony tęsknotą, której nie zdołała utulić nawet bosko piękna Stella, postanowił podążyć za zmarłą kochanką i, zawsze w życiu oryginalny, dowiedziawszy się przedtem, gdzie pracuje „pan Miecio", który niejednokrotnie mu się odgrażał, wybrał tak oryginalny koniec. Wśród dziennikarzy panowało przeświadczenie, że hrabia został zwabiony podstępem i że niejednym jeszcze, sensacyjnym szczegółem będą mogli uraczyć swoich czytelników. W szarym tłumie wreszcie, wśród którego nastrój dla nieboszczyka nie był naogół życzliwy, opowiadano sobie niestworzone historje, obiegające wszystkie magle, i zadecydowano, że hrabiego, którego w całej sprawie należy uważać za jedynego mordercę, jako mordercę na miejsce zbrodni, do razury „pana Miecia" sprowadziły wyrzuty sumienia, „ręka Boska". Konkluzja brzmiała: dobrze „takiemu" „tak"!...

Problem ten nie interesował jedynie dostojnych krewnych zmarłego oraz pięknej Stelli, która w żałobie (było jej w niej prześlicznie) postępowała za karawanem, mdlejąca i prowadzona przez autentycznego księcia, rozsiewając naokół siebie woń perfum i sensacji. Myśli ich zajmował inny zgoła problem, hamletowskie omal pytanie: jest albo niema? (dotyczyło, oczywiście, testamentu)...

Pogrzeb pozostawił wrażenie niezatarte...

. . . . . .

Testamentu, jak się okazało, nie było...

Nadszarpnięty, ale pokaźny jeszcze majątek hrabiego odziedziczyła zagraniczna, bliższa rodzina, uczciwszy pamięć zmarłego zbiorową „cegiełką wawelską"...

Stajnia wyścigowa poszła na otarcie łez dalszej, miejscowej rodziny, która zapomniała uczcić pamięć zmarłego...

Nieutuloną w żalu z powodu braku testamentu piękną Stellę pocieszył jeden z przyjaciół hrabiego...

Ukazały się artykuły o braku poczucia obywatelskiego i patrjotyzmu w pewnych sferach...

W tydzień potem mówiono już o czem innem...

. . . . . .

W dniu wspaniałego pogrzebu hrabiego Opolskiego, tylko wczesnym rankiem, człapał na Brudno inny pogrzeb...

Na obszarpanym „magistrackim" karawanie, ciągnionym przez szkapę, która o tyle przypominała cyklopa, że miała jedno oko, w drewnianej trumnie, naprędce skleconej i pomalowanej na czarno, samotnie, w ostatniej paradzie, jechał „pan Miecio"...

Grzebano go cichaczem, aby nie wywoływać zbiegowiska, z prosektorjum, gdzie, podczas sekcji, obrobiono nieboraka dokumentnie, dobierając mu się nawet do mózgu, przyczem wierzch głowy został odpiłowany, niby wierzch arbuza, następnie zaś, naprędce przyłożony i zaszyty, źle przylegał do czoła i zapadał się, wskutek czego głowa nieszczęsnego golibrody wyglądała tak odpychająco, że aż przygodna, litościwa babina nakryła ją jakąś kraciastą chustką, by nie przerażono się „pana Miecia" na Sądzie Ostatecznym...

Za trumną nie szedł, jak to mówią, „pies z kulawą nogą". Natomiast jakiś zdrowy i figlarny piesek, zaintrygowany tłustą plamą na nieokreślonej barwy suknie karawanu, biegł za nim, węsząc i machając ogonkiem...

Liczne grono kumów i kumoszek, które wybierało się oddać „panu Mieciowi" ostatnią posługę, obiecując sobie przytem wiele nowinek i sensacji, spotkał gorzki zawód, jako, że dowiedziało się o pogrzebie *post factum*. Z tego powodu był wielki gwałt, lament i pomstowanie przeciwko „panom". Zanosiło się nawet na tysiączny pierwszy strajk przeciw Magistratowi, w którym dopatrywano się głównego sprawcy zgotowanego ludowi zawodu, gdy wtem rozeszła się pogłoska, że na pana - Mieciowym, niepoświęconym grobie „straszy". Energja więc ludowa wyładowała się w innym kierunku i o nieszczęsnym Magistracie narazie zapomniano...

Brudno na czysto na tem skorzystało, goszcząc liczne rzesze głodnych i spragnionych pielgrzymów, powracających z pielgrzymki do „straszącej" mogiły...

Sensacji na przedmieściach było wbród...

„Pan Miecio" upomniał się z za grobu o swoją popularność...

. . . . . .

Gazety, podając szczegółowy opis świetnego pogrzebu hrabiego Opolskiego z dokładnem wyszczególnieniem napisów na wieńcach oraz drobiazgowem wymienieniem tytułów i koligacji, jako że działo się to w państwie demokratycznem, arystokratycznej rodziny i wybitniejszych uczestników uroczystości, jednocześnie, w formie krótkiej wzmianki, podały wiadomość, że sekcja, dokonana na zwłokach mordercy, skonstatowała u niego pewne zmiany patologiczne w mózgu, które jednakże nie pozwalają twierdzić z całą pewnością, że zbrodnia została dokonana w przystępie obłędu...

* * *

Tajemnica przystanku tramwajowego pozostała tajemnicą.

KONIEC.

Juljusz German. Powieść.

5) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Przed wzrokiem Szreniawy zarysowały się mglisto błękitne oczy rozjarzone błyskawicą głębokiej, aż strasznej jasności. A za tem światłem, prawie że upiornem, cisnęła się w pamięci nadzieja nieokreślona, dziecinnem pocieszeniem słodka.

Bronicz uderzył nagle pięścią w stół, aż od sąsiedniego stolika oglądnęła się wysoka, łabędzim dekoltem wyniosła pani, podobna do przebranej za damę ukraińskiej mołodycy, i spojrzała z oburzonem a pełnem zachęty zdziwieniem, żarem wilgotnym ust i oczu świecąca.

— Nie! Nie przepadnie nazawsze — powtórzył ciszej, żelaznym tonem głosu dławiąc niepokój, który w zwykłym jego uśmiechu zadrgał poszarpanym skurczem.

— Możesz sobie wprawdzie pozwolić na rozbicie całego Bristolu, ale nie gorsz tej pięknej pani manierami cowboya, tem bardziej, że wcale miło ku tobie zagląda—rzekł Szreniawa powoli. — Traktowałeś tę sprawę znacznie chłodniej, gdyśmy rozmawiali o tem tydzień temu. Wpadłeś, coprawda, jak bomba późnym wieczorem i odrazu przyparłeś mnie do ściany telegraficznym stylem: „Była dziś u ciebie Lili Dowgird? Cóżeś za głupstwa jej nagadał? Poważnie chora? Jak to się po łacinie nazywa? Napisz mi? Pewny jesteś swego?" Zamyśliłeś się i wyleciałeś, jak z procy. A teraz chcesz stoły rozwalać.

Bronicz zagryzł usta.

— Widzisz, może to tak: Gdy

zaskoczy niespodziewana, czarna wieść, spada raptem na człowieka wrażenie, że jest w jakiemś przeraźliwie obcem miejscu, którego nigdy nie widział. Chce jaknajprędzej uciec, cofnąć się w strony znane, w objęty dotychczasowemi pojęciami kraj życia.

— Instynkt broni się odruchowo przed podmuchem zniszczenia— szepnął lekarz.

— A potem, gdy wieść ta żłobi się w myślach i osadza pozorem nieuniknionej prawdy, chwyta gniew. Tak jest, poprostu gniew, że stoi się głupio bezradnym wobec nieznanego, z łbem wciśniętym w jarzmo konieczności. A ma się przecież siłę i wolę, do stu piorunów!

„Bo to jest niesprawiedliwe, że jesteśmy wszyscy skazani" — przypomniały się Szreniawie słowa mówione altowym głosem, dźwięcznym od tonów grających ironicznem i łagodnem zaproszeniem do pieszczot dziwnych.

— I może jeszcze jedno—dodał Bronicz z uśmiechem, który przedzierał się twardo przez pajęczy obłok znużenia. — Patrzę w siebie jasno. Nielubię oszukiwać się. Kto wie, czy Lili nie jest mi teraz droższą dlatego, że może oddala się odemnie. Nie myślę o jej chorobie, o czemś zupełnie innem. Zresztą— machnął ręką — tak to się razem złożyło.

— Gdy była u mnie — rzekł Szreniawa trochę niepewnie — miałem już na końcu języka zapytanie: a cóż pan Bronicz na to wszystko? Ale było mi jakoś niezręcznie. Znam ją tylko z teatru, u ciebie nie spotkałem jej nigdy. A wiedziałem, rozumie się... Obiło mi się o uszy, że nawet chciałeś z nią się żenić...

— Żadne: nawet. Jeśliby tylko chciała... Każdej chwili. I nigdy nie robiłem z tego tajemnicy. Ale ona...

Odsunął kieliszek z połyskującym ciepło i aksamitnie burgundem.

— Wiesz, stary, że nielubię zwierzeń. Choć, jeżeli z kim, to czasem z tobą mówię, jak pragnąłbym mówić z przyjacielem. Ona nie jest z tych,—uczynił dłonią wokoło szeroki gest lekceważenia — które tu łypią roziskrzonemi oczkami. Miałeś rację, wcale przystojna ta Ukrainka i nudzi się widocznie przy tym grubawym mationku z miną gracza... Lili...

Uśmiechnął się i zwiewna mgła uleciała z twarzy promiennej świeżem tchnieniem szlachetnie dzikiej młodości.

— Dziwiłeś się nieraz tej zmianie, co w ciągu kilku lat uczyniła z warszawskiego urzędniczka, jakich tysiące, mnie dzisiejszego. Nie mówię o majątku, który nawet jak na teraźniejsze czasy jest olbrzymi, ale o tej energji i amerykańskim, twórczym pędzie, jakim ten majątek zdobyłem. A każdy wie, dziwiąc się zresztą szczerze, że zdobyłem uczciwie. Inaczej nie siedziałbyś tu ze mną, najporządniejszy ze wszystkich znanych mi porządnych ludzi, mężu nieskazitelny. Zbywałem zawsze twoje zdziwienie uśmiechem. Teraz ci powiem. To ona. Miałem różne może zalety, brakło mi poczucia własnej siły. Tę pewność ona we mnie stworzyła. Byłem kochany, ja biedny, skromny, niebardzo ładny, przez nią, już wtedy słynną z czarującego wdzięku, już wtedy znaną artystkę. Byłem kochany i... niech między nami dwoma to zostanie... pierwszy, choćby mało kto temu uwierzył.

A było to we wtorek...

Spędził błyskawicznie zamyślenie twardszym tonem głosu:

— Tyle siły ukrytej śpi w człowieku, takie skarby jej nieprzebrane, że sam nie wie, że sam się zdumiewa. Gdy ta siła się raz obudzi, to już jak koło w rozpęd puszczone śmiga coraz silniej, coraz zawrotniej. Teraz to już idzie całym rozmachem... i pójdzie.

Zaciągnął się dymem, strząsnął uważnie popiół z papierosa.

— I jak nie chciała wówczas wyjść za mnie, gdym w pierwszych tygodniach ją błagał, tak samo nie chce i dzisiaj. Wtedy, że mogłaby dla mnie być ciężarem, że krępowałaby mnie dniem powszednim, dzisiaj, że to byłoby śmieszne, że nie chce zapłaty małżeństwem. Zapłaty... To jej się udało. W tej walce, w którą poszedłem przez nią umocniony, poznałem całą dobroć życia, całe jego piękno nieogarnięte... no i ludzi poznałem do gruntu, co może ważniejsze. Inni przez kobiety głupieją, stają się jak omdlałe, trwożliwe lalki, ja przez nią wyzbyłem się nazawsze cielęcej pokory wobec wszystkich. Wobec wszystkiego, mój ty panie od szkieletów i bakterji. Nawet wobec niej... Ona czasami teraz mnie się boi. Ona... Liluś, pyszna z tą swoją zapłatą...

— I konsekwentnie nie chce?

— Tak. Czy ja wiem... Sobą śmiałą pragnie być zawsze, wolną. Jest nią.

— No, i ty, bo o ile patrzę na twoje życie zdaleka...

— Chcesz powiedzieć, że nie jestem jej wierny, idealisto? Nie mylisz się. Chociaż niebardzo to się liczy. Widzisz, to już w tym rozpędzie...

— Ale takiem samem prawem mogłaby i ona...

— Tak jest — rzekł Bronicz z błyskiem w oczach. — Mogłaby. Czy ja jestem najlepszy? Najbardziej godny? Skąd? Mogłaby, powiedziałeś. Pewnie. No, a teraz... Tak to dziwnie razem się składa...

Tryumfalny młodością uśmiech zgasł mu na ustach. Zwrócił nagle głowę w głąb sali.

— O, ta stepowa piękność zbiera się już do odejścia. Na Jowisza, cóż za powłóczyste spojrzenie, lepkie jak miód ze wszystkich ukraińskich pasiek. Dobrze, zrobi się. Zobaczymy zaraz...

Skinął na kelnera, płacił szybko rachunek.

— Co to za pani, ta wysoka, w czarnej wyciętej sukni?

— Z Podola, zdaje się, jakaś hrabina...

— Niema już hrabin, mój przyjacielu. Nauczcie się raz. To było kiedyś i skończyło się. Dziękuję. No, bywaj mi, perło wszystkich doktorów.

— Gdzie lecisz? — obruszył się Szreniawa.—Za tą damą? Czekajże. Sensu niema...

— Namyślać się niedołężnie, bojaźliwie wciąż dreptać za pragnieniem. Nie zapisuj się tylko do cechu hipokrytów zrzędzących zgrzybiale na erotyzm. Za szczeryś na to i za dzielny. A zamknąłbym cię z nią w ciemnym pokoju, tobyś inaczej zaśpiewał mi, Katonie.

Uścisnął go serdecznie za rękę. Podążył ku wyjściu, skłonił się kilkakrotnie po drodze, znów z ujmującym życzliwie uśmiechem. W drzwiach, prowadzących do hotelowego przedsionka, spotkał parę małżeńską z Podola. Ustąpił na bok, by przepuścić panią o łabędzim dekolcie, która ujrzawszy go znienacka tuż przy sobie, drgnęła, zatrzepotała powiekami i spuściła oczy. Mijając ich, zatrzymał się w lekkim półobrocie i spytał niedbale:

— Zdaje mi się, że mam przyjemność znać pana...

Mąż Ukrainki cofnął się i zmieszał. Na tłustej twarzy zarysował się tępo wyraz nieufnej troski.

— Nie wiem — wybełkotał — to jest, nie przypominam sobie dokładnie...

Wyciągnął zaraz żywo dłoń do powitania.

— Chociaż naturalnie... pan Bronicz... Musieliśmy się kiedyś zetknąć! — mówił z prędką, rozpłaszczoną grzecznością. — W resursie napewno... Pan pozwoli, że przedstawię pana mojej żonie...

Dalszy ciąg nastąpi.